



INGERENCJA

prewencja

DODATEK SPECJALNY W 20. ROCZNICĘ LIKWIDACJI CENZURY W POLSCE

Czwartek | 8 KWIETNIA 2010

Myszki i ludzie

MACIEJ ROSALAK

20 lat temu zlikwidowano w Polsce cenzurę. Ludzie dobiegający obecnie emerytury pracowali w jej zasięgu przynajmniej przez poprzednie 20-lecie. Dziennikarzom, pisarzom i satyrykom cięto teksty, plastynom odrzucano projekty, reżyserom wyrywano sceny, a miliony czytelników i widzów pozbawiano wolnego słowa. Z kolei ludzie młodzi, a nawet 40-latkowie, cenzury nie doświadczyli w ogóle. Naszym dodatkiem chcemy dziś jednym przypomnieć, a drugich powiadomić, czym przez 45 lat tak zwanej Polski Ludowej były u nas INGERENCJA i PREWENCJA.

Ingerencja oznaczała usunięcie przez cenzora całości lub części utworu. Prewencja zaś to działanie wyprzedzające moment rozpowszechnienia utworu, a więc uniemożliwiająca jego społeczny odbiór. Tym właśnie zajmował się Główny Urząd Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk. Poza tym autor i redaktor często otrzymywali reprimendę od władzy politycznej, czyli Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, za samą próbę nieprawomyślnego przekazu, a jeśli się to powtarzało – byli karani zakazem pisania i odwoływaniem ze stanowiska.

A więc prewencji towarzyszyła represja. W krajach ościennych – ZSRR, NRD i Czechosłowacji – w ciągu wielu lat nie stosowano cenzury prewencyjnej, a jednak kaganiec założony tam twórcom zamykał im usta bez porównania bardziej niż w PRL. Ów pozorny paradoks wynikał z niebywalej ostrości represji. U sąsiadów po prostu każdy redaktor i – co gorsza – niemal każdy autor stawał się ze strachu własnym cenzorem.

U nas jednak wiele rzeczy przemycano, omijając sprytnie zapisy cenzorskie oraz pisząc aluzyjnie. Stąd właśnie znane powiedzenie o PRL jako najweselszym baraku obozu socjalistycznego. Autorzy nauczyli się pisać między wierszami, a czytelnicy – między nimi czytać. Cała szkoła polskiego felietonu opierała się na tej umiejętności. Cenzorzy okazywali się bezradni albo przymykali oczy. Niezmiernie rzadko, ale zdarzało się też, że sam cenzor radził, jak ominąć jakiś głupi zapis. U schyłku PRL, jak w epoce upadku monarchii habsburskiej, zwykli ludzie, nawet niektórzy cenzorzy, nie wierzyli już w celowość utrzymywania fikcji...

Ale wcześniej każdemu w miarę przyzwyczajonemu człowiekowi zajmującemu się pisaniem cenzura niejednemu raz musiała dopieć. Publikujemy dalej przykłady przypomniane przez kilku znanych twórców. Ze swych skromnych doświadczeń w „Tygodniku Demokratycznym” najbardziej pamiętam walkę o sformułowanie „Powstanie warszawskie – ostatnie ogniwo wielkich polskich powstań narodowych”. W 1979 roku dla cenzora takie określenie było niedopuszczalne. Rok później nie chciano mi puścić całego reportażu ze Stoczni Gdańskiej. Widziałem pierwszy dzień wolnej Polski i taką oceną chciałem się



♦ Sekretarz generalny KC KPZR Leonid Breżniew przemawia w Hucie Warszawa, listopad 1968 roku. Delegacja sowiecka bawiła wtedy na V Zjeździe PZPR. Cenzura zatrzymała zdjęcie zapewne z powodu gestu genseka na tle godła polskiego. To i dalsze zdjęcia w dodatku należą do tzw. zdjęć zakazanych CAF/PAP, których wystawę zorganizowała 12 lat temu red. Dobrochna Kędzierska

PAP/CAF HENRYK ROSIAK

podzielić z czytelnikiem. O dziewięć lat wcześniej... Dopiero śp. redaktor Krzysztof Boruń poradził mi, że bym zamiast własnych ocen napisał godziną po godzinie, co widziałem na wykastrowany materiał w druku, aż tu dzwoni kolega i powiada: – Dobrze napisałeś! Ale że ci puścili?...

W 1987 roku w relacji z papieskiej mszy świętej na Zaspie napisałem, że przyszło ludzi „milion... może dwa miliony”. – Nikt tego nie liczył; nie podajemy! – upierał się cenzor. W sprawozdaniu ze spotkania z Ojcem Świę-

tym na placu Defilad zauważyłem harcerzy roznoszących wodę wśród pielgrzymów. Słyszę: – Nie było tam harcerzy! – Jak to, sam ich widziałem! – Byli to członkowie nielegalnego ZHR; mam kategorię zapis! Zdaje się, że wywalczyłem zamiast „harcery” – „chłopców w harcerskich mundurkach”.

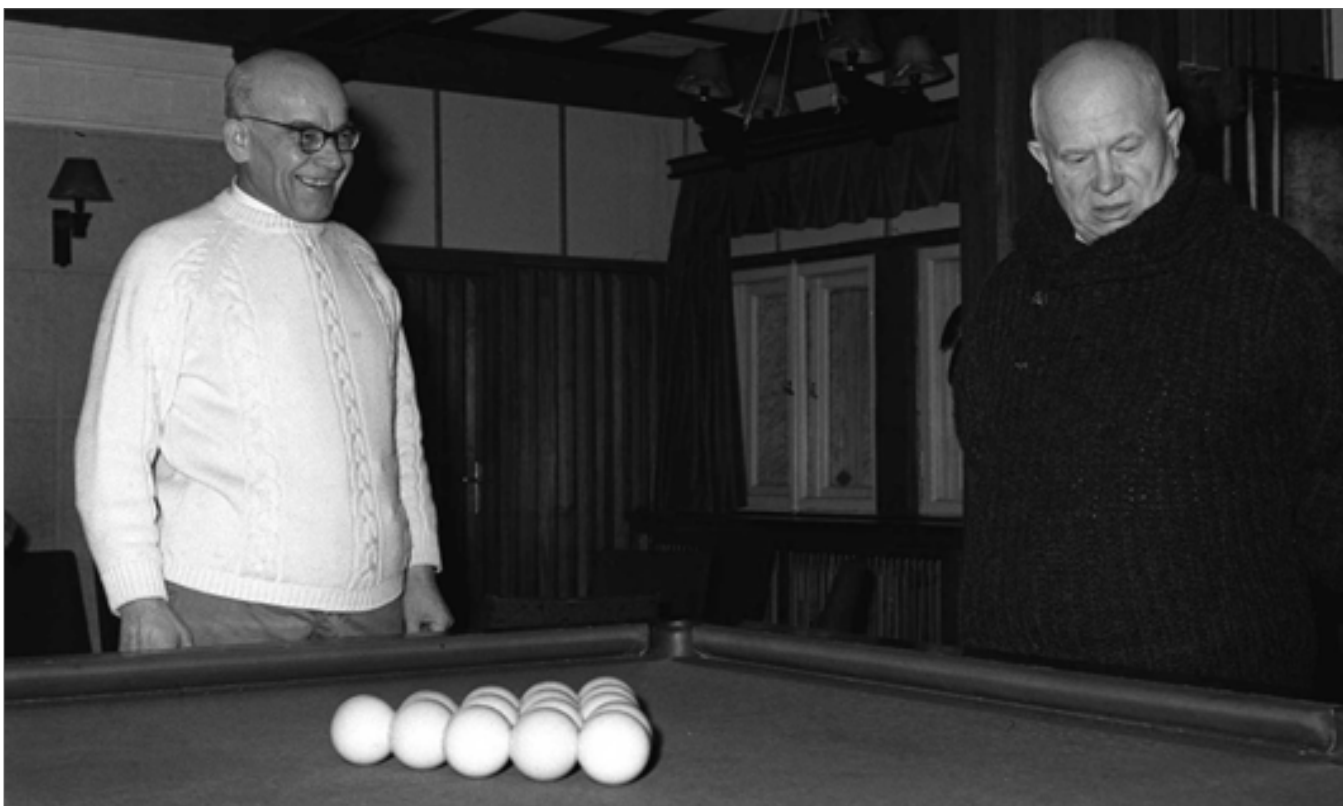
Takie to były zabawy z myszkami, jak nazywał cenzorów Stefan Kisielewski, nawiązując do adresu centrali GUKPPIW w Warszawie: Mysia 2. Wszyscy moi koledzy rówieśnicy znali ten adres. Dobrze, że myszki się stamtąd wyprowadziły i od 20 lat nie gryzą... ■

♦ Ingerencja cenzury zaznaczona w tekście Kisielewskiego (Stefana Kisielewskiego) zamieszczonym w „Tygodniku Powszechnym”

Jasne, proste, klarowne, odkrywcze, skuteczne – nieprawdaż? Teraz już wiemy, w jakich kategoriach obraca się myśl koncepcyjna naszych reformatorów gospodarki, wiemy co nas czeka i co jest prawdziwym realizmem, a co nierealnym i dyktanckim bujaniem w chmurach, [— — —] [Ustawa z dn. 31 VII 81 r., O kontroli publikacji i widowisk, art. 2 pkt. 142 (Dz. U. nr 20, poz. 99, zm.: 1983 Dz. U. nr 44, poz. 204)].

Już nigdy nie będę, oddając miejsce fachowcom i specjalistom, przepaszam, że żyję, z naciskiem obiecuję poprawę, witam reformę i reformatorów!

KISIEL



SEBASTIAN LIGARSKI (IPN)

Po objęciu władzy w Polsce przez komunistów wprowadzono prewencyjną i wtórną kontrolę prasy. Początkowo sprawy te znajdowały się w kompetencjach Wydziału Informacyjno-Prasowego Resortu Informacji i Propagandy PKWN (potem Ministerstwa Informacji i Propagandy), kierowanego przez Jerzego Borejszę. Napotykało to niezadowolone inne komórki rządowe, które predestynowały do nadzoru nad prasą, szczególnie Ministerstwa Administracji Publicznej. Wynikało to z faktu, że w okresie II RP aparat kontroli umiejscowiony był w odpowiednich wydziałach administracji państwowej. Dlatego stwarzane przez PKWN, a potem Rząd Tymczasowy instytucje i poszczególne struktury kontroli prasy napotykały opór tworzących się terenowych urzędów pełnomocników, gdyż chcąc kontynuować przedwojenną praktykę, one także aspirowały do sprawowania nadzoru nad prasą.

Spory kompetencyjne pomiędzy organami administracji publicznej a aparatem propagandy nie zostały zażegnane, kiedy Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego (MBP) powołało kolejny organ kontroli. Było nim Centralne Biuro Kontroli Prasy, Kin, Radia (Centralne Biuro Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk) przy MBP, od 19 stycznia 1945 r. na mocy rozporządzenia ministra Stanisława Radkiewicza zajmujące się m.in. cenzurą prasy. Dyrektorem został Leon Rzendowski. Zarządzenie ministra Radkiewicza było lakoniczne. Nie określono celów, zadań, kompetencji i struktury tego organu. Wydaje się, że odnośne wytyczne zostały udzielone pracownikom w inny sposób. „Organami Centralnego Biura na obszarach województw były wojewódzkie biura kontroli prasy, publikacji i widowisk (WBKPPiW), bezpośrednio podporządkowane centrali i, podobnie jak WUiP, przez nią finansowane i merytorycznie obsługiwane. [...] Na terenach powiatów kontrola prasy, publikacji nieperiodycznych druków, widowisk i bazy poligraficznej należała z reguły do jednoosobowych powiatowych pełnomocników biur wojewódzkich”.

15 listopada 1945 r. Tymczasowy Rząd Jedności Narodowej przyjął decyzję o od-



♣ Styczeń 1963 roku. Podczas polowania w Białowieży odbyły się nieoficjalne rozmowy Władysława Gomułki z Nikitą Chruszczowem (wszystkie zdjęcia stamtąd trafiły do zamkniętego Archiwum II znajdującego się pod specjalnym nadzorem)

♣ Marsz głodowy w Łodzi zorganizowany 7 czerwca 1981 roku

Codziennność cenzora

SYSTEM | Dopóki działania urzędu spowijała mgła tajemniczości, wzbudzało to strach

ANDRZEJ KRAJEWSKI (IPN)

Prawie absolutna kontrola nad środkami masowego przekazu pozwalała władzom PRL na kreowanie namiętności rzeczywistości. Do jej funkcjonowania na co dzień wystarczała praca ledwie pół tysiąca ludzi.

„Po raz pierwszy usłyszałem wtedy nazwę urzędu. Nie skojarzyło mi się zupełnie nic. Myślałem, że to będzie papierkowa robota w biurze” – opowiadał były cenzor w książce Pawła Misiornego „Ja, Tomasz Strzyżewski”.

„Ujrzałem setki zapisów i przykładów ingerencji. Zobaczyłem, że cenzura niszczy wszystko, czuwa nad najdrobniejszymi sprawami. To mnie poraziło!” – wspominał Strzyżewski.

Nadkontrolerzy kontroli

Kiedy w maju 1945 r. odbyła się w Warszawie pierwsza konferencja rządowa poświęcona budowie aparatu cenzury, co nadzorowało Ministerstwo Informacji i Propagandy, prowadzący obrady Jakub Berman nie pozostawiał obecnym złudzeń, jak ciężka praca

ich czeka. Pisarz Jerzy Putrament zapamiętał, iż Berman poinstruował obecnych słowami: „Dla was jako pracowników kontroli prasy ważnym jest mieć poczucie granic krytyki, granic dopuszczalnej krytyki. Igdybyście zapytali o receptę, jak wytyczyć, jak uchwycić, jak mieć magiczne tabelki, to odpowiem, że nie ma” – po czym dodawał: „naszym wspólnym wysiłkiem będziemy szukali rozwiązania codziennie, co godzinę”.

Faktycznie, pomimo pomocy doradców z Moskwy i wydaniu w lipcu 1946 r. przez Krajową Radę Narodową dekretu, który dawał cenzorom niczym nieograniczoną władzę nad wszelkimi środkami przekazu (ich decyzje były ostateczne i nie podlegały apelacji), budowa całego systemu kontroli trwała kilka lat. Od połowy lat 50., choć stalinowski terror był już wspomnieniem, działania GUKPPiW okazywały się bardzo skuteczne i to pomimo że zatrudniano niespełna pięćset osób. Mogli działać efektywnie, ponieważ nastąpiło – jak to ujął Stefan Kisielewski w artykule dla drugoobiegowego pisma „Zapis” – „przyszwyczenie piszących, aby myśleli i formułowali swe myśli w pewien określony sposób, bo pisanie w inny sposób będzie likwidowane lub przez odpowiednie skreślenia zmieniane”.

Potem artykuły w gazetach cenzurowali redaktorzy naczelni, wydawcy książki, a filmi uczestnicy pokazów kolaudacyjnych.

W radiu i telewizji zajmowało się tym kierownictwo przedsiębiorstw. Na własną rękę kontrolą parali się też ludzie sprawujący ważne funkcje partyjne.

„W ogóle istnieje duża rozpiętość między naszym postępowaniem materialnym a brakiem postępu wolności”. Np. sekretarz KW (Komitetu Warszawskiego PZPR – przyp. aut.) czyta wszystkie teksty kabaretów i osobiście odrzuca te, które – jak twierdzi – są skierowane przeciwko władzy” – zapisał pod datą 9 maja 1974 r. w swoim dzienniku minister kultury Józef Tejchma. Jednym słowem cenzor znajdował się na samym końcu tego łańcucha i otrzymywał do oceny produkt skontrolowany już kilkakrotnie.

Drobiazgowość systemu

Pomimo iż kontrola była tak wielostopniowa wpadki wcale nie należały do rzadkości. O tym, jak życie lubi być złośliwe, przekonali się cenzorzy z urzędu przy ul. Mysiej w Warszawie choćby pod koniec grudnia 1978 r., kiedy na pierwszej stronie „Trybuny Ludu” puszczono do druku informację, iż: „Wymiana handlowa – a ściślej mówiąc współpraca gospodarza ze Związkiem

Radzieckim – jest trwałym czynnikiem rozwoju naszej recesji i protekcjonizmu”. Za ten skandal osoba nadzorująca numer oficjalnego organu prasowego KC PZPR zapłaciła dyscyplinarnym zwolnieniem z pracy.

Dla uniknięcia podobnych zdarzeń cenzorów wyposażano w bardzo szczegółowe instrukcje. W pierwszym rzędzie była to podzielenia na działy tematyczne „Księga zapisów i zaleceń”. Zawierała ona drobiazgowo przepisy, jakie informacje należy zatrzymać, a jakie puszcząć w obieg. Wedle jej nakazów cenzor musiał zarówno likwidować wszelką krytykę władz partyjnych i państwowych, ale też np. kpiny i naigrywania się z telewizji, funkcjonującego w niej „poziomu propagandy i języka”, a wszystko do „zapewnienia właściwego klimatu społecznego wokół tej instytucji”. Nawet dowcipy z festiwalu piosenki żołnierskiej w Kolobrzegu „Księga” uznawała za niedopuszczalne. Bo z wojskiem nie było żartów.

„Cenzura wykreśliła z noweli Bajona – »Szedłem z Wojskiem Polskim od Lenino do Berlina i potrafię odróżnić wystrzał od pierdnięcia«, nie dlatego, że słowo pierdnięcie jest nieprzyzwoite, ale dlatego, że cenzura uznała, że jest to słowo obraźliwe dla Wojska Polskiego” – skarżył się publicznie w 1973 r. podczas zjazdu Związku Literatów Polskich Jarosław Iwaszkiewicz.

„Księgę zapisów i zaleceń” uzupełniał przegląd tekstów niedopuszczonych do druku, tzw. Przegląd Ingerencji, wydawany w formie biuletynów dziennych, dwutygodniowych oraz podsumowujących – miesięcznych i kwartalnych. Na zamówienie spoza GUKPPiW tworzone też były oceny i analizy. Istniał również „Wykaz zbędnych interwencji”, w którym analizowano teksty, zatrzymane przez nadgorliwych cenzorów,

Krótki kurs historii GUKPPiW

URZĄD | Był dyspozycyjny wobec dyrektyw płynących z KC PPR, a potem KC PZPR, i doskonale realizował nałożone na siebie zadania

dzieleniu cenzury od MBP. Powołano Główny Urząd Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk podporządkowany Prezydium Rady Ministrów. Zmiana ta i tak nie zakończyła sporów kompetencyjnych pomiędzy poszczególnymi agendami rządowymi, a także nie wpłynęła znacząco na zmianę wizerunku MBP, które nadal postrzegano jako główny organ kontroli prasy. Ostatecznie 5 lipca 1946 r. dekretem powołano GUKPPiW podległy prezesowi Rady Ministrów, na mocy którego stał się on naczelnym organem kontroli w państwie.

W praktyce od 1948 r. stał się centralnym ośrodkiem nadzoru nad prasą, gdyż skupił w swoich rękach całokształt zagadnień z nią związanych. Był dyspozycyjny wobec dyrektyw płynących z KC PPR, a potem KC PZPR i doskonale realizował nałożone na siebie zadania, a niektóre z nich sam inspirował. Dekretem z 28 lipca 1948 r. znowelizowano ustawę o tym organie de iure, nadając mu uprawnienia, które posiadał już wcześniej (m.in. nadawanie koncesji, decyzje o nakładach i objętości przejęte po likwidacji MiP). Kolejna nowelizacja z 22 kwietnia 1952 r. poszerza-

ła jego kompetencje. Nowy statut z 1972 r. wprowadził zmiany w strukturze organizacyjnej cenzury. Dotychczasowe urzędy wojewódzkie i miejskie przekształcono w delegatury, co ważniejsze jednak Urząd został wyjęty spod kodeksu postępowania administracyjnego i nadano mu statut organu kontroli. Kolejną zmianą dokonała się po wprowadzeniu nowej reformy administracyjnej w 1975 r. i 16 delegaturom w największych miastach podporządkowano 35 oddziałów.

Jednym z najczęściej wysuwanych postulatów podczas karnawału „Solidarności” była likwidacja cenzury. Władze nie zgodziły się na taki akt, lecz ograniczyły jego rolę w lipcu 1981 r. na mocy ustawy konsultowanej przez prawników związanych z NSZZ „Solidarność” i przedstawicieli Komitetu Porozumienia Stowarzyszeń Twórczych i Towarzystw Naukowych. Najważniejszą zmianą była możliwość odwołania od decyzji GUKPPiW do Naczelnego Sądu Administracyjnego. Ustawę znowelizowano w 1983 r. Ostatecznie 11 kwietnia 1990 r. Urząd przestał istnieć na mocy nowej ustawy o prawie prasowym. ■

aby na tych przykładach uczyć wszystkich elastyczności.

Wyposażeni w te instrukcje pracownicy GUKPPiW kontrolowali praktycznie wszystko, co ukazywało się na piśmie, wizytowali wystawy w muzeach, recenzowali plakaty, zaproszenia, obserwowali próby sztuk teatralnych, kolaudowali filmy i programy radiowe oraz telewizyjne. Podczas swej wyczerpanej pracy każdego miesiąca ingerowali w sprawdzane materiały od 600 do nawet 1000 razy. Przy czym zawsze dbano, żeby liczba interwencji nie była ani zbyt mała, co świadczyłoby o nadmiernym liberalizmie, ani zbyt duża, co mogłoby wywoływać wrażenie represyjności.

Najważniejsze: kadry

Jednym z najważniejszych, a być może nawet najistotniejszym elementem pracy cenzora było orzeczenie, które jednostki są najmniejbezpieczniejsze dla systemu oraz następnie wystąpienie do władz o zgodę na ich przykładowe ukaranie. GUKPPiW tolerował zdjęcie przeciętne około pięciu artykułów jednego autora w ciągu roku, potem zaczynał wyciągać wobec niego konsekwencje. Najboleśniej był zakaz publikacji i pojawiania się w mediach. Taka osoba po prostu zniknęła i nie dopuszczano, by pojawiała się choć informacja o tym, że istnieje. Co gorsza, ukarany twórca tracił możliwość zarabiania na życie, co zwykle oznaczało popadnięcie w poważne tarapaty finansowe. W drugiej połowie lat 70. po akcjach protestacyjnych w świecie kultury, przez listy osób ukaranych zakazem publikacji przewinęło ponad

150 nazwisk. Trafili na niem.in.: Jerzy Andrzejewski, Jacek Bocheński, Kazimierz Brandys, Marian Brandys, Zbigniew Herbert, Stefan Kisielewski, Andrzej Kijowski, Antoni Słonimski, Wanda Wilkomirska i wiele innych sławnych osób. Represje wobec buntowników nie kończyły się nawet po śmierci. Gdy zmarł Melchior Wańkowicz, z 19 materiałów prasowych na jego temat, cenzura zdjęła 15 w całości, a cztery pozostałe mocno okroiła.

Ten rodzaj kary miał tę zaletę, że władze nie musiały nikomu wytaczać procesów politycznych, a jednocześnie osiągały zamierzony efekt zastraszenia środowisk twórczych. Dopóki cenzorzy działali zakulisowo, a cały system spowijała mgła tajemniczości, wzbudzało to niewątpliwie strach. Jednak wiosną 1977 r. cenzor Tomasz Strzyżewski przemycił do Szwecji kopię tajnej „Księgi zapisów i zaleceń”. Jej treść wstrząsnęła polskimi elitami intelektualnymi.

„Ci ludzie wszystko wiedzą o swoich zbrodniach i bzdurach, to są cynicy najwięksi jacy istnieją, groza wieje z tego dokumentu” – zapisał zaszokowany Stefan Kisielewski. Jednocześnie uchylene rąbka tajemnicy powodowało, że najważniejszy element systemu – strach ofiar – bardzo osłabł.

„Tyś jest, cenzuro, wcale nie taka straszna/ Nie kazamaty ani krople słonej wody/ Co płyną po ciemnych i kamiennych ścianach, / Nie świst pejsza i krwawe zakłęcia, / Wesoło gwizdże czajnik, kawy domowy zapach/ w kątach się rozpiera i słychać wysoki/ Perlisty śmiech zażywej urzędniczki/ Która trzyma w rękach zwykajne nożyczki” – opowiadała czytelnikom napisana wówczas przez Adama Zagajewskiego „Mała piosenka o cenzurze”. Widok tak banalnego oblicza zła powodował, że bunt stawał się nieuchronny. ■

Moje boje z Mysią



▲ Portal GUKPPiW z ul. Mysiej 2 w Warszawie (obecnie przeniesiony do siedziby PAP)

Trzęsienie ziemi w Pile

Janusz Rewiński
satyryk, aktor



– **Scenariusze programu kabaretu Tey oddaliśmy pracownikowi, który wiózł je do Warszawy, na Mysią. Stamtąd teksty wracaly z wykreślonymi pointami. Gdy pojawiała się gra słów w rodzaju „haraszo, czyli horror show”, cenzor momentalnie wyrzucił „horror show”.**

Zdarzało się też, że program kabaretu zatwardzało po tym, jak na przedstawieniu pojawił się pracownik delegatury Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk w Poznaniu. Obserwował reakcję widowni i skreślał nawet to, czego nie rozumiał. Pamiętam taki dialog z Zenonem Laskowikiem. „Czy styszałeś, że w Pile było trzęsienie ziemi?”. „Nie w Pile, tylko w Chile” – odpowiadał Laskowik i pokazywał ręką: „Tu leży Chile, a Piła leży tak”. I ludzie trzęśli się ze śmiechu. Przy-

znając, że do dziś nie bardzo wiem dlaczego. Cenzor też pewnie nie wiedział, ale dla pewności wykreślił. A finał dialogu wyglądał tak: „Nie w Chile, w Pile. Żle posiali kukurydzę i naczelnik gminy kazał wziąć ziemię w sito i trzęśli do ziarna”. I tę pointę cenzor także wywalił. Nie zrezygnowaliśmy z tego skreścu i wtedy wkroczył do akcji dyrektor Estrady. Co dzień pilnował, żebyśmy tego żartu nie powtarzali. Nie zawsze mu się udawało i któregoś dnia pojawił się rozeźlony aparatczyk z Piły. Okazało się, że tamtejszy pierwszy sekretarz miał nam za złe, iż źle mówimy o jego mieście. Mam dokument, w którym pan dyrektor ostrzeża, że jeśli tak dalej pójdzie, zakaze nam pracy. A to już śmieszne nie było.

–notował Bartosz Marzec

Strażak zamiast policjanta

(fragment opowiadania)

Marek Nowakowski
pisarz



Mieliśmy szkopuł. Ja i Redaktor. Jemu opowiadanie się spodobało i chciał drukować. Dla mnie to była nobilitacja: druk w najpoważniejszym miesięczniku literackim stolicy. Szpalty korekt cieszyły moje oko. Były w trzech egzemplarzach. Jeden wrócił z cenzury. Redaktor osadził papierosa w szklanej lufce. Długi czas nie zapalał i dumał. Patrzyłem smętnie w długie paski korektorskiego składu. Rzecz dotyczyła ucieczki starych z domu spokojnej starości. Nocą przywieziono tam trumny ze spółdzielni stolarskiej specjalizującej się w wyrobieniu tego asortymentu. Starycy mają płytki sen i bez trudu odkryli przyczynę nocnego hałasu. Popadli w panikę.

– Będą wykańczać – przekazywali sobie złowrobną wiadomość. Już to sformułowanie spowodowało wykrzyknik cenzora. Ale miarę jego cierpliwości przebrała ucieczka starych i pogoń za nimi. Ściągała ich milicja. – Absolutnie nie zgadzają się na milicję – rzekł Redaktor i dodał, iż wcale nie przekonał ich argument o humanitarnych względach pościgu. Wczesna wiosna była wtedy i chodziło przecież o zdrowie obozujących w plenerze uciekinierów. – Dopatruję się w tym szyderstwa w szerszym aspekcie. Decyzja cenzora oznaczała dla mnie koniec nadziei na druk opowiadania. Nagle zgaszone dotąd i apatyczne oczy Redaktora rozświetliły intensywnie. Zapalił wreszcie papierosa. – Eureka! – wykrzyknął.

Pochylił się nad tekstem. – A gdyby tak... dajmy na to – przeciągał słowa – milicję zamienić na straż pożarną. Niech ściągają ich strażacy. Popatrzę na niego zaskoczony. On już z korekty począł wyławić gliniarzy i zamieniać ich na strażaków. – Popatrz! – tłumaczył. – To nabiera jeszcze bardziej przewrotnego znaczenia. Wyrobiony czytelnik natychmiast skojarzy o kogo chodzi w istocie. Kamuflaż wzmocni wymowę tekstu. Wreszta zostawimy tu i tam pewne drobiazgi niepozostawiające wątpliwości. Wahałem się, czy przystać na taką kosmetykę. Ale bardzo pragnąłem, żeby opowiadanie ujrzało światło dzienne. Zgodziłem się więc. Wtedy Redaktor ze strażakami, którzy zluźowali ze wszystkich posterunków milicjantów, pobiegł z powrotem do cenzury. Wrócił rozpromieniony. – Przechytrzyliśmy ich! – obiecał w drzwiach, potrząsając plikiem szpalu. Sam uwierzyłem w mocniejszą wymowę tekstu i czytając na spotkaniach z czytelnikami fragmenty opowiadania akcentowałem z naciskiem słowo „strażak” w różnych odmianach i sytuacjach. Stuchające na ogół bezbłędnie odczytywali intencję kamuflażu i wyrażali uznanie. Tylko raz pewien młody człowiek powiedział: Ja tego nie rozumiem. Dlaczego strażacy? To zupełnie bez sensu. Nie dał się przekonać. (...)

„Portret artysty z czasu dojrzałości”
– wydawnictwo NOW-a, 1987 r.

Dokument hańby

CENZOR | Owszem, „Czarna księga cenzury” stawia włosy na głowie, ale diabeł tkwił między wierszami

ALEKSANDER PAWLICKI (IPN)

Nasz program będzie niedługo wyłącznie milczeniem. A reszta? Również milczeniem przerywanym okrzykami entuzjazmu” – gorzko kpił w latach gierkowskiej propagandy jeden z kabaretów. Żart ów nie znalazł słuchaczy – usunęła go cenzura. W tej zadekretowanej ciszy grzmotnęło w roku 1977. „Zapoznałem się z [...] dokumentem, który podnosi włosy na głowie, z którego tchnie czyste szaleństwo, i to ruskie, średniowieczne, bizantyjsko-azjatyckie. Jakiś facet z cenzury uciekł za granicę i ogłosił tam zalecenia szczegółowe Urzędu Kontroli z lat 1974 – 1977, te właśnie, których nie znamy, a którymi się oni kierują. Coś niesłychanego! Drobiazgowo wyliczone, o czym nie wolno pisać [...]. Ci ludzie wszystko wiedzą o swoich zbrodniach i bzdurach, to są cynicy najwięksi, jacy istnieją, groza wieje z tego dokumentu. Myślałem, że o cenzurze wiem wszystko, tymczasem wiedziałem jeszcze mało” – Stefan Kisielewski zanotował pierwsze wrażenia po eksplozji.

Facet z cenzury

Tomasz Strzyżewski, od 1975 r. pracujący w krakowskiej delegaturze Głównego Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk, w lutym 1977 r. umknął do Szwecji. Uwiózł ze sobą 700 stron notatek i dokumentów pokazujących kuchnię (czy lepiej kazamaty) pelerowskiej policji myśli. Na jesieni opublikował je emigracyjny „Aneks”, powiadomił o nich światowe media, wreszcie „Czarna księga cenzury” ukazała się w Polsce w imponującym, jak na warunki podziemia, nakładzie 1500 egzemplarzy. Rzecz czytano w Radiu Wolna Europa.

Historia wywiezienia dokumentów i ich publikacji obrosła polemikami pełnymi osobistych ataków, na co wpływ miała zarówno nieufność środowisk emigracyjnych (podejrzewano esbecką prowokację), jak i finansowe nieporozumienia, a wreszcie i podziały polityczne. Motywy Strzyżewskiego rekonstruujemy na podstawie jego własnych deklaracji, co wymaga wprawdzie przejścia mimo kuriozalnej stylistyki jego autobiografii, właściwej opowieściom „żołnierza-samochwała”. Kluczową intencją jego działań była chęć zdemaskowania cenzury. Odsłoniła mu ona całą swą przerażającą

postać wkrótce po podjęciu przezeń pracy. Nadto losy zamordowanego w Katyniu dziadka popchnęły cenzora do antyreżimowego wystąpienia.

Wątpliwości rozwiewa redaktor „Aneksu” Eugeniusz Smolar, co ważne: traktowany z niechęcią we wspomnieniach bohatera. „...Uwagi dotyczące kwestii finansowych nie powinny przysłać istotnych motywacji patriotycznych, którymi bez wątplenia kierował się T. Strzyżewski, miesiącami kopiując dokumenty cenzury, a następnie przemykając je do Szwecji”.

Czarne listy

Kajety i dokumenty, które dotarły do Szwecji, ukazywały czytelnikom szokującą rozległość i drobiazgowość działań podejmowanych przez GUKPPIW. Począwszy od list nazwisk autorów skazanych na zapomnienie, a skończywszy na utajnionych in-

Losy zamordowanego w Katyniu dziadka popchnęły cenzora do antyreżimowego wystąpienia

formacjach o zagrożeniach dla życia obywateli, potwierdzają one bon mot Strzyżewskiego: nie dlatego są przestępstwa, że są tajne, ale są tajne, ponieważ dowodzą przestępstwa.

W językoznawczej analizie „Czarnej księgi” D. Galasiński i A. Jaworski wskazują m.in. na specyficzny tryb formułowania zapisów (poleca się..., należy eliminować...) właściwy władzy całkowicie anonimowej i zarazem wszechpotężnej. Owszem, obraz świata tworzony zgodnie

z cenzorskimi zaleceniami nijak się ma do realiów, ale trafnie powiada J. Bralczyk, że całkowita niezależność propagandowego opisu od rzeczywistości jest manifestacją siły.

Zarazem dostrzec można staranie o dystrybucję informacji. Społeczeństwo dzielone jest na rozmaite grupy o różnym stopniu poinformowania. Wiedzieć gdzie, co i ile można powiedzieć, to ważna kompetencja, której się nabywa, obcując z cenzurą.

Narzuca się zarazem pytanie o szczegółowość zapisów. „Czarna księga” chwytą bowiem moment, gdy ich liczba i drobiazgowość sięgnęła zenitu. Partyjni decydenci konstatawali post factum nadmiar regulacji. Ten niepoohamowany (przynajmniej do momentu publikacji księgi) rozrost wynika z konfliktu urzędniczej „logiki stosowności” i partyjnej „logiki konsekwencji”. Cenzor bowiem wkładany jest przez swych mocodawców w nierozwiązywalny dylemat bycia elastycznym tam, gdzie istnieją wyraźne zalecenia, i pryncypialnym tam, gdzie brak jakichkolwiek wytycznych. A skoro nie radzi sobie z tym ambasem, to należy przymnożyć mu wskazówek, a nadto przypominać cenzorom, że „każda wasza decyzja jest decyzją polityczną” (Stefan Olszowski). GUKPPIW pełnił rolę zdezerzaka, którego istnienie dawało patent na niewinność decydentom partyjnym („za dużo wam skreślili, my to zmienimy”).

Kto decyduje?

Rewolucyjny charakter publikacji w samych latach 70. polegał m.in. na odkryciu, że to nie kierownicy panicznym strachem przed odpowiedzialnością szeregowi cenzorzy są źródłem drakońskich regulacji. M. Chojecki wspomina, „Inżynieria dusz działała inaczej, niż zdawało się opozycji. Myśleliśmy, że

od czasu do czasu można coś z cenzorem zalać, obgadać. Okazało się, że od urzędników mało zależy”. Protesty wyrażone w roku 1977 w listach episkopatu, PEN Clubu czy towarzystw Socjologicznego i Filozoficznego nie pozostawiały złudzeń: przekonywanie, że system jest dobry, lecz tu i ówdzie wypaczają go rozwielenione instytucje, skazane jest na porażkę. Odłożonym skutkiem publikacji „Czarnej księgi” była zatem ustawa o kontroli publikacji z 1981 r., pierwsza w dziejach PRL, która poddawała aparat kontroli myśli jakiemuś, nawet jeśli momentami tylko iluzorycznemu, społecznemu nadzorowi (formalny zakaz sporządzania zapisów na nazwiska, instancyjność, kontrola sądowa, zaznaczanie ingerencji w publikowanym tekście).

Zmienić wydźwięk

Ujawnienie „dokumentu hańby” (J. Tejchma) nie przeszkodziło dostrzec baczniejszym obserwatorom, np. publikującemu w podziemnym „Zapisie” J. Karpińskiemu, że „nie jest to pełna informacja o funkcjonowaniu cenzury. Cenzura stosuje te zapisy i zalecenia, lecz jednocześnie daleko poza nie wykracza”. „Rutynowany cenzor nie myślał o tym, żeby wstrzymać cały tekst, tylko o tym, żeby zmienić słowo, zmienić lekko znaczenie zdania, coś złagodzić, poprawić wydźwięk” – opowiada w reportażu Pawła Misiora pracownik urzędu. Nic dziwnego zatem, że w 1974 r. z „Tygodnika Powszechnego” cenzura wycięła demaskującą ją rysunek L. Biernackiego, na którym król zasiadający na tronie mówi do swojego slugi: „Niech płaczą! Trzeba im tylko delikatnie zasugerować, że płaczą ze szczęścia”.

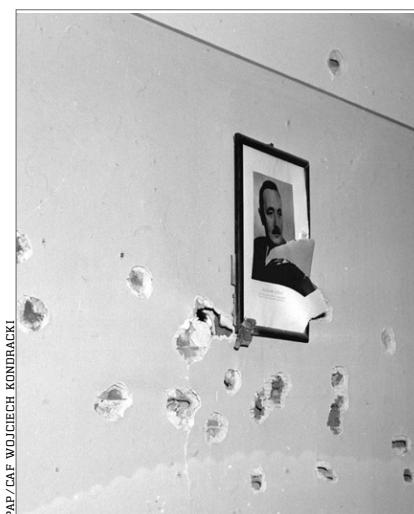
Owszem, „Czarna księga” stawia włosy na głowie, ale diabeł tkwił między wierszami. ■

♦ ZAPISY CENZORSKIE (WYBÓR)

- Należy eliminować informacje o średnim zagrożeniu życia i zdrowia ludzi spowodowanym przez przemysł i środki chemiczne stosowane w rolnictwie.
- Wszelkie publikacje Stefana Kisielewskiego można zwalniać do druku po uprzedniej (każdorazowej) konsultacji z GUKPPIW.
- Nie należy dopuszczać do żadnych polemik z materiałami opublikowanymi na łamach „Trybuny Ludu” i „Nowych Dróg”.
- Nie należy zwalniać żadnych materiałów na temat wyburzenia we Wrocławiu zabytkowych młynów św. Klary.
- Nie dopuszczać do publikowania informacji z zebrania i wieców młodzieży i studentów arabskich i afrykańskich przebywających czasowo w Polsce, na których atakowane są reżimy krajów arabskich i afrykańskich.
- Nie należy stosować określenia Niemcy w odniesieniu (współcześnie) do obszaru lub państwa NRD.
- Nie należy zwalniać żadnych informacji o wypadku w Słubicach, w wyniku którego zginęło dwóch żołnierzy, nauczycielka i uczeń, a 14 uczniów odniosło rany. Zalecenie nie dotyczy „Gazety Zielonogór-

skiej” (5. V. 75, anul. 13. VII. 75).

- Nie należy dopuszczać do publikacji żadnych materiałów dotyczących ruchu hippies w Polsce, utrzymanych w tonie aprobującym, tolerancyjnym, lekceważącym itp. Można publikować jedynie materiały jednoznacznie krytyczne.
- W dniu 27.1.1977 r. odbędzie się premiera filmu K. Zanussiego „Barwy ochronne”. Nie należy podawać żadnych informacji o tej imprezie, jak również wzmianek, omówień, reklamy filmu, zarówno przed, jak i po premierze.



♦♦♦ Szef komunistów NRD Erich Honecker na polowaniu w Polsce

♦♦ Spychalski, Gomułka i Cyrankiewicz na przyjęciu w URM z okazji 22 lipca w 1970 roku

♦ Ostrzelany portret Bieruta w gmachu poznańskiej bezpieki w czerwcu 1956 roku

Ucieczka ze świata orwellowskiego

PROTEST | Z rozmowy z Tomaszem Strzyżewskim...

KRZYSZTOF MASŁOŃ

Tomasz Strzyżewski w liście do Komitetu Samoobrony Społecznej KOR napisał: „Uświadamiając sobie ogrom zdecydowałem się [opublikować] najobszerniejszą i dobraną w najbardziej reprezentatywny sposób część dokumentacji tajnej GUKPPIW”. Dokumentacja ta spełniła podobną rolę co o niemal ćwierć wieku wcześniejsze rewelacje pułkownika Józefa Światły.

Brat Tomasza Ryszard Strzyżewski stracił pracę w Wydziale Wyznań Urzędu Miasta, szybko pozbywano się go także z innych miejsc, w których się zatrudniał. A w końcu pod byle pretekstem trafił do więzienia, gdzie przesiedział pół roku, choć winy mu nie udowodniono. Ojcu Tomasza powiedziano, że nigdy już nie dostanie paszportu, co okazało się nieprawdą. I ojciec, i matka przyjechali do Szwecji, i to na stałe, ale dopiero w 1983 r., po tym jak Tomasz urządził głodówkę przed Ambasadą PRL w Sztokholmie. Podobnie dramatyczne były okoliczności wypuszczenia z Polski, już wcześniej, żony eksenczora i jego dzieci. Nie byłoby to możliwe bez interwencji w tej sprawie prof. Zbigniewa Brzezińskiego, który – poinformowany przez Jana Nowaka, dyrektora Radia Wolna Europa – wykorzystał w tym celu wizytę prezydenta Cartera w Polsce.

Osobiste sprawy Tomasza Strzyżewskiego, w Szwecji ze względów językowych funkcjonującego jako Starski, nie ułożyły mu się jednak najlepiej. Żona wkrótce złożyła pozew o rozwód, boleśnie odczuł też niechęć ze strony większości polskiej emigracji w Szwecji. Któregoś dnia w Ośrodku Polskich Organizacji Niepodległościowych w Sztokholmie usłyszał: „Cała emigracja nie lubi ludzi, którzy pracowali w kraju na parzywych robotach. Cenzor to cenzor”.

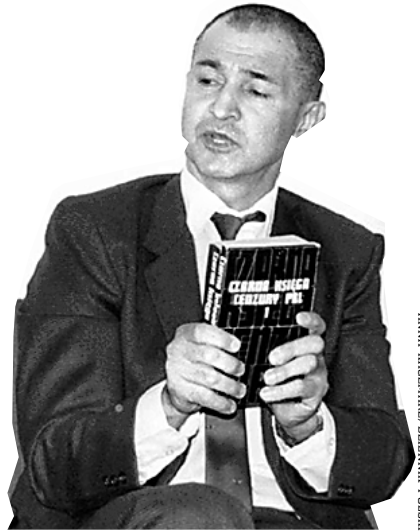
W 1995 r. przeprowadziłem wywiad z Tomaszem Strzyżewskim dla „Rzeczpospolitej”. Nie krył żalu do środowiska związanego z „Aneksm”, a w wolnej już Polsce – z „Gazetą Wyborczą”. Był oburzony, że zarzucano mu chęć zysku. Na pytanie, ile zarobił na wiezionych dokumentach, wyliczał:

– W sumie było to około 4 tysięcy dolarów, równowartość dwóch miesięcznych pensji, na co złożyły się honoraria za audycję w Radziu Wolna Europa, artykuł w „Reader’s Digest” i za amerykańską publikację „Czarnej księgi”. Zrzekłem się, informując o tym Eugeniusza Smolara z „Aneksu”, wszelkich dochodów z polskiego wydania książki. Mimo to na publikacji „Nowej” był jeszcze wspólny copyright: mój i „Aneksu”. Teraz nie mam i tego copyrightu, na czym mi zresztą nigdy specjalnie nie zależało.

Do KOR zraził się, zaczął więc prowadzić w Szwecji Biuro Informacyjne Konfederacji Polski Niepodległej aż do zawieszenia jego działalności w stanie wojennym. Do KPN wprowadził go Władysław Gauza z Norwegii, przedstawiciel jeszcze nie Konfederacji, ale Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela (ROPCziO). W połowie lat 80. zaczął z wolna dystansować się od polityki, zrobił kurs komputerowy, dostał pracę. W 1989 r., po raz pierwszy od „ucieczki”, odwiedził Polskę. Pozostał mu żal o niedocenienie tego „numeru, jaki wyciął władzy”.

– W Krakowie cenzurował pan gazety, ingerując w treść artykułów. Co sprawiło, że praca ta wydała się panu w dalszym ciągu niemożliwa do wykonywania? – zapytałem Strzyżewskiego.

– Wstrząs nastąpił bezpośrednio po zapoznaniu się z „Księgą zapisów i zaleceń”.



ANNA KACZMARZ/DZIENNIK POLSKI

♦ Tomasz Strzyżewski z „Czarną księgą cenzury”

Wśród wielu innych był tam też zapis o Katyń, gdzie zginął mój dziadek Wincenty Strzyżewski. Później wziąłem do domu „Listę katyńską”. Trafiły do cenzury egzemplarze takich książek, zatrzymanych przez Urząd Celnny. Pokazałem „Listę...” ojcu. Później zastanowiła mnie treść innych zapisów, zakaz publicznego funkcjonowania pewnych nazwisk. Było w tym coś orwellowskiego.

Tomasz Strzyżewski nie demonizował, bynajmniej, urzędu cenzorskiego.

– Nie było czego demonizować – przekonywał. – Do cenzury trafiłem w momencie, gdy nie miałem żadnego zatrudnienia. Jako młodszy radca zarabiałem 3600 zł, a więc nie żadne kokosy, ale była to stała praca, państwowa. Kiedy opowiadałem znajomym, gdzie pracuję, mało kto się dziwił, nie mówiąc o wzburzeniu czy potępieniu, z którym nie spotkałem się nigdy. Raczej patrzono na mnie jak na takiego, który wie więcej od innych. Żadnej oceny moralnej. W cenzurze pracowali różni ludzie, byli wśród nich bezpartyjni, osoby wierzące, chodzące do kościoła. Na pozór była to instytucja jak każda inna. Negatywny wpływ cenzury rozumie ci, którzy na własnej skórze doświadczyli jej mocy, osobiście zetknięci się z jej oddziaływaniem. Co do mnie, to zaważyła na moim losie, prywatnym szczęściu. Do końca życia sprawy cenzury będą mnie interesowały.

Przypomniałem Strzyżewskiemu, że przed wieloma laty, od lutego do lipca 1827 r. w warszawskiej cenzurze pracował Maurycy Mochnacki, co też mu – przy zachowaniu wszystkich proporcji – bezustannie zarzucało. Przy pierwszej okazji Mochnacki porzucił cenzurę, w liście do naczelnika Józefa Kalasantego Szaniawskiego pisząc: „Dążność Krajowej Cenzury do absolutyzmu i nietolerancji, będącej ogólnym i naturalnym rezultatem umysłowego usposobienia moich kolegów, nie zgadza się z zasadami mojej wiary politycznej i religijnej, którą miałem honor poddać pod uwagę JW. Radcy Stanu”.

– Ja też mogłem to uczynić, po prostu, pod jakimś pretekstem zmieniając pracę – odpowiedział Tomasz Strzyżewski. – Zorientowałem się jednak, że nikt do tej pory nie wyniósł tajemnic cenzury na zewnątrz. Postanowiłem to zrobić, gdyż widziałem z tego większy pożytek, niż gdybym tylko w trosce o spokój własnego sumienia poszukał innego zajęcia. I tego kroku, bez względu na konsekwencje, jakie mnie spotkały, nie żałuję. ■

Moje boje z Mysią

Cień X Pawilonu

Stanisław Krupa

dziennikarz „Kuriera Polskiego”, wcześniej żołnierz batalionu AK „Zośka”, powstaniec warszawski więziony po wojnie przez komunistów



DOMINIK PISAREK

Moja książka „X Pawilon – wspomnienia AK-owca z więzienia na Mokotowie”, była drukowana w „Kurierze Polskim” w odcinkach, jeszcze w czasach PRL, tyle że w okresie największego zrywu „Solidarności”, bo w 1981 r. Narodziny publikacji nietypowe. Przeżycia więzienne z lat 1949 – 1953 tkwiły we mnie mimo upływu czasu i często je wspominałem. Z początkiem wiosny 1981 r. przy jakiejś okazji zacząłem je opowiadać Maćkowi Łukasiewiczowi, ówczesnemu kierownikowi wydania niedzielnego „KP”.

– Ty nie opowiadaj, tylko pisz – przerwał mi. – Maciek, tego nie da się wydrukować, cenzura nie puści – odpartem.

– Spróbujemy. Poważamy, może się uda. Z tą propozycją poszliśmy do naczelnego redaktora Cezarego Leżeńkiego.

Miał podobne wątpliwości co ja, ale pomysł zaakceptował, z tym że polecił mi napisać pierwsze dwa odcinki, które zostaną przesłane do cenzury celem wybadania ich opinii. Odpartem, że oficjalną drogą nic nie zdziałamy.

Ja pójść z tymi odcinkami osobiście do kierownika warszawskiego oddziału cenzury Mariana A. Razem studiowaliśmy prawo, wprawdzie się nie przyjaźniliśmy, ale się znamy.

Tak zrobiłem. A. przeczytał oba odcinki i powiedział: – Wiesz co, Krupa, ja ci ten materiał będę puszczał, ale pod warunkiem:

odp..... się od Związku Radzieckiego, ani słowa krytyki o naszym wschodnim sąsiedzie. Dla przykładu z pierwszego odcinka, tam gdzie piszesz o komendancie X Pawilonu mjr Serkowskim, wykreśli słowa byłego majora NKWD, może to się źle kojarzyć.

Z poleceniem oczywiście się zgodziłem, gorzej z jego dotrzymaniem. Jak tu na przykład pisać o Kazimierzu Kobylańskim, jednym z oskarżonych w moskiewskim procesie szesnastu, o jego opowieści o podstępny aresztowaniu przywódców Polski podziemnej i nie wspomnieć o NKWD. Albo jak pisać o majorze Łupaszce, który najcięższe walki toczył właśnie najpierw z partyzantką, a później z regularnym wojskiem sowieckim. Wybrnąłem z tego w jedyny dostępny sposób. Pisałem po prostu dwie wersje: jedną okrojoną, strawną dla cenzury, a drugą szerszą, zgodną z tym, co wysłuchałem od współtowarzyszy celi. Tę drugą odkładałem na półkę z nadzieją, że może kiedyś uda się ją wydrukować.

Udało się. W 1989 r. małe wydawnictwo Omnipres, kierowane przez tego samego Macieja Łukasiewicza (w stanie wojennym został wyrzucony z „Kuriera”, a później objął redakcję „Rzeczpospolitej”), wydało książkę pt. „X Pawilon – wspomnienia AK-owca z więzienia na Mokotowie”. Nakład w wysokości 100 tys. egzemplarzy rozszedł się w parę tygodni...

Schalke 04 na gościnnych występach

Andrzej Roman

dziennikarz sportowy „Kuriera Polskiego”



JAKUB OSTALOWSKI

Do drzwi zapukali o trzeciej nad ranem. „Jędrus, wstawaj. Masz gości” – powiedział mama. Bała się, bo najście żandarmów nie wróżyło nic dobrego. Była zima 1943 roku. Ale tych kilku w hełmach i z blachami zachowywało się przyzwoicie. Pokreślił się trochę po domu. Dowódca patrolu spojrzal na mnie i powiedział, że jest piłkarzem. „No i co z tego?” – spytałem. „Futbol to kawał mojego życia” – wyjaśnił. „Teraz czekam tylko na koniec wojny”. I wtedy się przedstawił: „Nazywam się Wentien”.

Rzeczywiście, był taki zawodnik Schalke 04. Znałem go z niemieckich gazet, które czytałem wyłącznie dla kolumn sportowych.

Rozmowa potoczyła się warkło. W pewnym momencie mój nocny gość wymienił nazwisko Helmuta Schöna, znakomitego zawodnika Dresdner SC. „On ma przed sobą przyszłość” – powiedział. I nie mylił się. Schön prowadził potem reprezentację Niemiec, czterokrotnie wprowadził tę drużynę do finałów. W 1966 r. zdobyli srebrny medal, w 1970 brązowy, a w 1974 złoty. W latach 60. opisałem tę historię w felietonie „Nocny gość z Schalke 04” i cenzura ten tekst zatrzymała w całości. Okazało się, że był sprzeczny z polityką Władysława Gomułki wobec RFN. Po prostu w tym duchu nie można było pisać o Niemcach.

– notował Bartosz Marzec



PAP/CAF DAMAZY KWIAKOWSKI

♦ Nowy Świat w Warszawie, 31 sierpnia 1982 roku (zajścia w 2. rocznicę podpisania porozumień w Słocznij Gdańskiej)

CECYLIA KUTA (IPN)

Spośród wszystkich pism wydawanych w powojennej Polsce ingerencje cenzury najbardziej dotknęły ukazujące się od 1945 r. w Krakowie „Tygodnika Powszechnego”, który traktowany był przez Główny Urząd Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk jako „najniebezpieczniejszy periodyk ukazujący się legalnie”.

Od Stalina do Gomułki

W latach stalinowskich „Tygodnikiem” – jak wspominał Stefan Kisielewski – zawładnął bez reszty „istny kat słowa”, czyli ówczesny dyrektor krakowskiej cenzury Ignacy Próchnicki. Pismo, aby przetrwać, zamieszczało wówczas teksty blahe, opowiadania, reportaże z gór itp. Udało mu się w ten sposób dotrzeć do marca 1953 r., kiedy to na skutek odmowy zamieszczenia na pierwszej stronie nekrologu Stalina wraz z jego zdjęciem w czarnej ramce „Tygodnik” został przekazany w ręce Stowarzyszenia PAX, a dotychczasowi redaktorzy zostali objęci zakazem publikacji.

Oddany prawowitej redakcji po Październiku 1956 r. krakowski tygodnik nadal borykał się z restrykcjami cenzury. „Odwilżowe” nadzieje szybko legły w gruzach.

Najczęstszym powodem ingerencji cenzorów była „wroga wymowa polityczna arty-

Wojna z „TP”

INGERENCJE | „Najniebezpieczniejszy periodyk ukazujący się legalnie...”

kulów, tendencje dywersyjne w stosunku do kultury socjalistycznej, jak też krańcowy klerikalizm publikacji”. Dopatrywano się ich w tekstach zupełnie nieprzystających do stawianych im zarzutów. Czujny cenzor skojarzył sobie, że rysunek Stefana Pappa przedstawiający „grającego obdartego skrzypka z kapeluszem na datki w otoczeniu takich samych obdartusów”, który miał ilustrować felieton Stefana Kisielewskiego, może się odnosić do zamieszczonego na sąsiedniej stronie fragmentu przemówienia sejmowego na temat trudności gospodarczych w kraju.

W 35. numerze pisma z 1 września 1968 r., zdając sobie sprawę, że informacje dotyczące agresji wojsk Układu Warszawskiego na Czechosłowację nie przejdą przez cenzurę, nie wydrukowano stałej rubryki „Obraz tygodnia”, a na pierwszej stronie zamieszczono zdjęcie kolumny czołgów, uzasadniając to rocznicą września 1939 r. Tym sposobem redakcji udało się przechrzcić cenzurę.

Sredniomiesięcznie „kontrola prasy” dokonywała w „Tygodniku” 30 – 40 ingerencji.

Podwójnie oceniany

W 44. numerze „Tygodnika Powszechnego” z 1978 r., który ukazał się po wyborze Karola Wojtyły na papieża, peerelowskie cenzory dokonali 34 ingerencji. Niepożądane okazały się zarówno relacje o spontanicznych reakcjach ludzi, jak też tekst „Ostatniej odezwy kardynała Karola Wojtyły do wiernych diecezji krakowskiej”. Nie zezwolono też na druk wiersza Juliusza Słowackiego „Pośród niesnasków Pan Bóg uderza...”, w którego frazach: „Pośród niesnasków Pan Bóg uderza/W ogromny dzwon. /Dla Słowiańskiego oto Papieża/Otwarty tron” oraz „Wszelką z ran świata wyrzuci zgniłość. /Robactwo, gad, /Zdrowie przyniesie, rozpali miłość/I zbawi świat; Wnętrza kościołów on powymiała, /Oczyści się, /Boga pokaże w twórczości świata, /Jasno jak w dzień” – dopatrywano się niebezpiecznych treści.

Ingerencje cenzury polegały również na ograniczaniu przydziałów papieru i ilości

nakładu. Gdy Jerzy Turowicz i Stefan Kisielewski w marcu 1964 r. podpisali się pod tzw. Listem 34, czyli listem protestacyjnym przeciw cenzurze skierowanym do premiera Józefa Cyrankiewicza, potraktowano to nie jako wyraz indywidualnych poglądów, lecz jako stanowisko „całego środowiska »TP«, stojącego w jednym froncie z siłami opozycyjnymi wobec programu kulturalnego partii”. Konsekwencją tego było obniżenie nakładu „Tygodnika” o 10 tys. egzemplarzy.

Także wydział IV krakowskiej bezpieki rozpatrywał każdy numer „Tygodnika”. Prowadzono statystyki, które uwzględniały autorstwo artykułów oraz ich tematykę. Przykładowo z zestawienia za rok 1964 wynikało, że „na łamach »Tygodnika Powszechnego« dominowała problematyka religijno-filozoficzna (259 artykułów) i kulturalna”. Stwierdzano też, że „pismo jest robione prawie że wyłącznie przez starych etatowych redaktorów (268 artykułów podpisanych przez członków redakcji i, 234 artykuły nie podpisane – czyli też redakcyjne, oraz 221 artyku-



◀ Sprzedawcy-
ni w sklepie
mięsnym,
lata 80.

◀ Polacy na pla-
cu św. Piotra
w Watykanie
10 października
1982 roku

Ogłoszenia nie(cenzuralne)

INSERATY | Cenzurowanie ogłoszeń drobnych nie zawsze wynikało z jednoznacznych politycznych powodów. Niekiedy trudno było doszukać się logicznego wytłumaczenia

SEBASTIAN LIGARSKI (IPN)

Cenzura chroniła przed ujawnieniem informacji stanowiących tajemnicę wojsko-państwową, dotyczących potencjału przemysłowo-obronnego, gotowości bojowej armii polskiej itd.

W sprawie tajemnicy wojskowej powstała szczegółowa instrukcja (tzw. instrukcja wojskowa z 25 czerwca 1948 r.), która miała dokładnie wyznaczyć sposób pracy cenzorów w odniesieniu do prasy. Jej dopełnieniem był dekret o tajemnicy państwowej, wojskowej i urzędowej (wszedł w życie 26 października 1949 r.) oraz o zmianie dekretu z 13 czerwca 1946 r. o przestępstwach szczególnie niebezpiecznych w okresie odbudowy państwa.

W tym okresie wydano także instrukcję gospodarczą, w której m.in. zakazano publikacji dotyczących różnego rodzaju produkcji, a także informowania o niedoborach surowców. To ostatnie zastrzeżenie zilustrujemy przykładem ukazującym, jak wprowadzano je w życie: „Włóczkę, wełnę z paczek zagra-

nicznych kupuję w każdej ilości. Plaćę najwyższe ceny [...]”. Uzasadnienie decyzji cenzora brzmiało następująco: „Zdjęte ogłoszenie sugeruje, że zagraniczna (amerykańska ewentualnie zachodnio europejska [sic!]) wełna jest jakościowo dużo lepsza od krajowej. Sugestia taka posiada kosmopolityczne akcenty”.

Inny przykład stanowi usuwanie z inseratów nazw jednostek wojskowych, jak Dowództwo Wojsk Lotniczych, lub zakładów, np. Zakłady Budowy Maszyn i Turbin.

W czerwcu 1945 r. w Krakowie wstrzymano druk komunikatu LOT o uruchomieniu nowych linii lotniczych. „Informacja była niepotrzebna, skoro z Lotu korzystają pracownicy, którzy i tak znają rozkład lotów” – argumentował naczelnik tamtejszego Wojewódzkiego Biura Kontroli Prasy. W 1949 r. w czasie kontroli wtórnej „Dziennika Zachodniego” zwrócono uwagę na następujące ogłoszenie: „Uwaga! Masz kogokolwiek na terenie Anglii, od którego otrzymujesz pomoc? Powiadom go natychmiast, ażeby wysłał tylko ANGEL TRADING Co8, DUNCAN TERRACE CITY ROAD LONDON Nr 1. Ponieważ jest to jedyna firma, która ma pra-

wo wysłać paczki bez względu na wagę samolotami, a Dyrekcja Polskich Linii Lotniczych LOT rozsyła pod czułą opieką do rąk adresatów. Każde paczki idą tylko kilkanaście godzin z Anglii do Polski. Poza tym jest to jedynie najtańsza firma”. Uwaga cenzora brzmiała: „Z powyższego, wynika jakoby emigracja na terenie Anglii żyła w lepszych warunkach jak ich krewni w Polsce”.

Nie zawsze jednak dawało się odczytać intencje urzędnika. Przykładem była ocena „Słowa Polskiego” za okres od 16 grudnia do 31 grudnia 1948 r., gdzie cenzor Bogusław Holub zanotował: „Widoczny jest kompletny brak kontroli ze strony redakcji nad przyjmowaniem ogłoszeń, co miało fatalny skutek w nr 354, s. 15”. Przeglądając ten numer, znajdujemy w nim trzy ogłoszenia, które być może upoważniły cenzora do wystawienia takiej opinii. Dwa pierwsze, ramkowe, dotyczyły spraw religijnych: zapowiedź relacji z „Jasełek w Tatrach” w świątecznym numerze „Przyjaciela”, tygodnika dla starszych dzieci, oraz ogłoszenie: „Sztandary, paramenta kościelne wykonuje fachowo i solidnie Pracownia haftów artystycznych Irena Szalowa”. Wy-

daje się, że zastrzeżenia cenzorskie wzbudziło ogłoszenie umieszczone w rubryce „Lokale” o treści: „W POKOJU ciepłym, schludnym przy solidnej, pomieszczenie dla pana bezwzględnie uczciwego (Semici wykluczeni). Zgłoszenia »Słowo Polskie« pod »35-40«”.

Dodajmy, że wcześniej redakcja miała wpływ na politykę ogłoszeniową, i tak np. „Pionier” nie zamieszczał na swoich szpaltach inseratów stricte matrymonialnych. Cenzurowanie ogłoszeń przynosiło również bardzo dobry dochód, porównywalny z ich akwizycją. Mechanizm przedstawiono w piśmie katowickiej delegatury RSW Prasa do Zarządu Głównego w Warszawie, według którego dyrektor oddziału i kierownik działu ogłoszeń mieli pełne prawo do prowizji od zareklamowanych przez nich ogłoszeń w wysokości 18 proc. brutto. Ponieważ trudno było stwierdzić, co przychodziło pocztą, a co było zatrzymane osobiście, to zarobki jego i najbliższych współpracowników przekraczały 100 tys. złotych.

Przeglądając się cenzurowaniu ogłoszeń drobnych, zauważmy, że nie zawsze zastrzeżenia dotyczyły jednoznacznych politycznych powodów. W wielu przypadkach trudno było doszukać się logicznego wytłumaczenia, a umieszczane przez cenzorów uzasadnienia podjętych decyzji obnażały niejednokrotnie ich indolencję i prymitywizm.

Ograniczanie inseratów o charakterze gospodarczym kontynuowano w latach 70. Najwięcej wiadomości o rodzaju i sposobach ingerencji przynosiła akta cenzury oraz opublikowana przez Tomasza Strzyżewskiego „Czarna księga cenzury”. Przyjrzyjmy się

Jak nam Sowietnicy cenzurę zakładali

POCZĄTEK | Od stycznia do marca 1945 roku cenzorzy mieli na koncie 120 ingerencji prasowych i 58 ingerencji w programy radiowe

JAN RÓDZYŃSKI

Było ich dwóch: Piotr Gołdin i Kazimierz Jarmuz. Należeli do najbardziej oddanych, znających jako tako język polski, pracowników sowieckiego Głównego Zarządu Literatury i Wydawnictw. Pryncypialni, dociekliwi, czujni i skromni. Odpowiedzialni towarzysze na odcinku ideologicznym. Pewnie dlatego w grudniu 1944 roku Nikołaj Bułganin, wówczas komisarz 1. Frontu Białoruskiego i zarazem pełnomocnik rządu ZSRR przy Polskim Komitecie Wyzwolenia Narodowego, skierował ich do Lublina. Zadanie, które otrzymali, było wielkiej wagi: najpierw przygotować podstawę prawną pod wyrocznię „nieprawomyślnych” treści, a następnie zorganizować Polakom wszechobecną cenzurę.

W 1994 roku, podczas porządkowania jednego z oddziałów Archiwum Państwowego Federacji Rosyjskiej, natrafiono na ledwo czytelne odręczne notatki z lat 1944 - 1945 adresowane do Nikołaja Sączikowa, pełnomocnika Rady Komisarzy Ludowych ZSRR (rządu) ds. ochrony tajemnicy w prasie. Z fragmentów tych raportów opublikowanych przez tygodnik „Moskowskije Nowosti” wynika, że wywiązali się z zadania.

Już w pierwszym raporcie datowanym na 19 grudnia 1944 roku obaj wyrażali się niezbyt pochlebnie o kompetencjach Polaków: „(...) Dekret o cenzurze polscy patrioci przygotowali już przed trzema miesiącami. Ale projekt tego dokumentu opracowany był absolutnie niezadowolająco, przy czym niektóre rozdziały były skierowane w istocie przeciw Związkowi Radzieckiemu (...). Projekt ten nie przewidywał kontroli programów radiowych, materiałów kartograficznych, przywożonej i wywożonej literatury zagranicznej, wykładów publicznych, projekcji filmów w kinach, wystaw, muzeów itd. (...). Przypuszczamy, że całą pracę zakończymy przed 1.11.1945 r. i wrócimy do Moskwy”.

Trudno dziś ustalić, czy Gołdin i Jarmuz funkcjonowali w Polsce tak długo, jak zaplanowali, czyli przez blisko rok. Odnalezione raporty obejmują tylko okres grudzień 1944 r. - marzec 1945 r. Wynika z nich jednak niezbicie, że to właśnie oni byli faktycznymi autorami pierwszych aktów rządu lubelskiego dotyczących cenzury. W raporcie z 30 grudnia pisali: „(...) W rezultacie wspólnych wysiłków i wyteżonej pracy osiągnęliśmy pierwsze sukcesy (...). Rząd Rzeczypospolitej Polskiej zaznajomił się z projektami Dekretu i Załącznika do niego o wprowadzeniu cenzury w państwie (które to dokumenty my przygotowaliśmy) i dzisiaj zostaliśmy powiadomieni, że projekty zostały przyjęte bez zmian”. Jednak wdrażanie zapisów dekretu szło opornie, co z niepokojem odnotowali w raporcie z 3 stycznia: „(...) Problemy związane z organizacją cenzury pozostają już cztery miesiące nierozwiązane (...). Słowo „demokracja” wywołuje u niektórych urzędników zawrót głowy, a wrogowie ludu wykorzystują je, żeby osłabić ciosy skierowane we wroga, oświadczając: „mamy demokrację, u władzy jest wiele partii, dlatego cenzura nie jest u nas konieczna”.

Dowódca jednej z sowieckich dywizji mógł zwrócić się do rządu lubelskiego z ofertą nie do odrzucenia. Oto 16 stycznia z satysfakcją odnotowali: „(...) Generał lejtnant tow. Szatłow zaprosił szefa sztabu Wojska Polskiego tow. Korczyca (...) Tow. Korzyca polecił przygotować zarządzenie o aresztowaniu niektórych redaktorów naczelnych za rozgłaszanie w prasie tajemnicy wojskowej”.

Na kolejny sukces Gołdin i Jarmuz nie musieli długo czekać. W raporcie z 22 stycznia napisali: „(...) 19 stycznia minister bezpieczeństwa publicznego Stanisław Radkiewicz podpisał zarządzenie o zorganizowaniu przy MBP Centralnego Biura Kontroli Prasy, Kin, Radia itd. Tymczasowo p.o. naczelnika został Żędkowski, członek PPR (...). Od 20 stycznia wszystkie centralne gazety, np. „Rzeczpospolita”, „Głos Ludu”, „Robotnik”, przechodzą pod kontrolę przewencyjną”. Jednak po kilku dniach fachowcy z Moskwy znowu poskarżyli się na niewdzięcznych Polaków. Oto część raportu z 2 lutego: „(...) W różnych ministerstwach i instytucjach jest nieduża grupa ludzi, którzy wyraźnie próbują zahamować, a w rzeczywistości zlikwidować cenzurę w republice. (...) Redaktor naczelny gazety „Rzeczpospolita” Borejsza nalega, żeby swoją gazetę kontrolował on sam, a w najgorszym wypadku, żeby zaliczyć go do cenzorów”.

Dalsza część notatek to przykłady czujności cenzorów, przyuczonych przez sowieckich towarzyszy tropiących „szkodliwe” teksty (...). W czasopiśmie „Ojczysty Zagon” w artykule wstępnym pt. „Dosiego roku” pisano: „Trzeba przebaczyć wszystkim wrogom, musimy

Gołdin i Jarmuz
byli faktycznymi
autorami pierwszych
aktów rządu lubelskiego
dotyczących cenzury

wszyscy zjednoczyć się i pozwolić wszystkim kierować państwem”. W tym czasopiśmie nie powiedziano o reformie rolnej i o wyzwoleniu Rzeczypospolitej Polskiej przez Armię Czerwoną”. Na żądanie cenzorów artykuł został przeredagowany. W „Życiu Warszawy” z 3 marca został zdjęty tekst o następującej treści: „(...) Rząd emigracyjny w Londynie występuje przeważnie przeciw narodowi polskiemu. Teraz, kiedy mamy Rząd Tymczasowy, nie mają oni więcej prawa być przedstawicielami narodu polskiego”. Tekst ten jest niewłaściwy dlatego, że rząd emigracyjny nie „przeważnie”, ale zawsze występował przeciw narodowi polskiemu i nigdy nie miał prawa być przedstawicielem narodu (...).”

Jak wynika z raportów, od stycznia do marca 1945 roku cenzorzy mieli na koncie 120 ingerencji prasowych i 58 ingerencji w programy radiowe. Cenzura zabroniła też wystawienia dwóch sztuk teatralnych i projekcji sześciu filmów w kinach. Udziałem Gołdina i Jarmuzów były jednak nie tylko sukcesy. Ich notatki urywają się na znamienym stwierdzeniu: „(...) Najtrudniejszą i najbardziej skomplikowaną pracą był dobór kadr (...).” ■

Moje boje z Mysią

Duch Święty
nie wieje w Moskwie



Andrzej Grajewski

redaktor „Gościa Niedzielnego”

Gdy w czerwcu 1981 r. rozpocząłem pracę w „Gościu Niedzielnym”, do moich obowiązków należały m.in. kontakty z Okręgowym Urzędem Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk w Katowicach. Zanośliem tam z drukarni odbitki całego numeru. Cenzor czytał, a następnie na każdej stronie przybijał pieczętkę z adnotacją, że zezwala na druk, ewentualnie zaznaczał, co należy usunąć.

Uchwalona 31 lipca 1981 r. ustawa o kontroli publikacji i widowisk – chociaż nie gwarantowała pełnej wolności słowa – stanowiła jednak po raz pierwszy w PRL normy prawne umożliwiające redakcjom dochodzenie swych racji w konfliktach z urzędami cenzorskimi. Dopuszczała także możliwość zaznaczania ingerencji w tekście, a decyzje cenzora można było zaskarżyć przed Naczelnym Sądem Administracyjnym. W stanie wojennym ingerencje cenzorskie zamieszczały jedynie „Gość Niedzielnym”, „Niedziela” oraz „Tygodnik Powszechny”. Informacje o ingerencjach cenzury stały się w tym czasie ważnym kryterium wiarygodności prasy. Polityczne rozmowy z dyrekcją katowickiej cenzury prowadził osobiście redaktor naczelny ks. Stanisław Tkocz. Ja odpowiadałem za kontakty robocze. Wielokrotnie usuwano fragmenty przemówień papieskich jako rzekomo nawołujących do niepokoju społecznych bądź naruszających podstawowe zasady polityki zagranicznej PRL. W pierwszym wypadku chodziło o modlitwę papieża za ludzi cierpiących w stanie wojennym, w drugim – wspomnienie o katolikach żyjących na terenie Związku Radzieckiego. Przedmiotem jednej z dyskusji był tekst ks. prof. Romana Rogońskiego na temat Ducha Świętego. Autor dowodził, że Duch Święty wieje wszędzie... w Moskwie, Waszyngtonie i w innych miejscach kuli ziemskiej. Cenzor zażądał wykreślenia z tekstu Moskwy. „Dlaczego?” – zapytałem zdziwiony. „Ponieważ towarzysze radzieccy mogą się poczuć urażeni sugestiami, że w Moskwie wieje

Duch Święty zamiast ducha marksizmu i leninizmu” – z powagą przekonywał mnie cenzor. „Tam chyba nie czytają „Gościa” – pytałem naiwnie. „Myli się pan – stanowić odpart urzędnik. – Ambasada radziecka w Warszawie zatrudnia wielu lektorów, którzy z uwagą czytają polską prasę, a szczególnie katolicką”. „A później – dodał – nasz dyrektor w czasie okresowych szkoleń w Moskwie musi wysłuchiwać nieprzyjemnych uwag na temat błędów, które popełniamy. Sam więc pan rozumie, że Moskwa nie może figurować wśród miejsc, gdzie wieje Duch Święty”. Nie oponowałem dłużej. Zdjęcie tego fragmentu cenzor uzasadnił paragrafem „naruszanie sojuszy PRL”.

W grudniu 1982 r. ze świątecznego numeru usunięto tekst ludowej kolędy opisującej dialog anioła z diabłem, ponieważ diabeł miał żołnierskie buty. „No i co z tego” – zapytałem zdumiony. „Jak to co? Nie wie pan, z czym się to będzie czytelnikom kojarzyło? Oczywiście z gen. Jaruzelskim” – przekonywał cenzor.

Po latach w sprawozdaniu katowickiej cenzury za 1982 r. znalazłem zapis świadczący, że moje wysiłki zostały jednak przez drugą stronę docenione: „Redakcja »Gościa« – napisał dyrektor katowickiego urzędu – różnymi sposobami stara się też wprowadzić cenzurę w pole, co jej się w tym roku trzykrotnie udało, doprowadzając do cenzorskich przeoczeń”. W latach 80. cenzura ingerowała w treści zamieszczone w „Gościu Niedzielnym” aż 2270 razy, konfiskując całe teksty bądź fragmenty materiałów przeznaczonych do publikacji. W analizie Urzędu ds. Wyznań z 1985 roku podkreślano, że pisma reprezentują polityczny klerikalizm, fałszują rzeczywistość Polski Ludowej, nie służą porozumieniu narodowemu. Negatywnie oceniano także politykę informacyjną „Gościa”, a zwłaszcza ponawiane stale przez redakcję próby publikacji tekstów o prześladowaniach Kościoła na Wschodzie. Analiza opierała się na informacjach pochodzących z cenzury.

